

Krajem nieba

REFLEKSJA U SCHYŁKU ROKU

„Lecz gdy nadeszło wypełnienie czasu, zesłał Bóg Syna swego, który się narodził z niewiasty i podlegał zakonowi, aby wykupił tych, którzy byli pod zakonem, abyśmy usynowienia dostąpili” – Gal. 4:4-5 (BW).

Nadchodząca szybkimi krokami zima i nadzieja następującej po niej wiosny niewątpliwie skłaniają do refleksji i kojarzą się nam z okresem Świąt, Nowego Roku oraz wielkiego, zadziwiającego przełomu, jaki każdorocznie dokonuje się na naszych oczach w świecie przyrody. Dziś jednak nie będziemy mówić o wspaniałym zegarze natury, tak precyzyjnie zaprogramowanym przez Wielkiego i godnego wiecznej chwały Projektanta, a raczej o naszych ludzkich umowach i ustaleniach. Jedną z takich właśnie umów są tzw. „Święta Bożego Narodzenia” obchodzone 25 grudnia.

Jest zastanawiające, że pomimo ogromnej doniosłości i znaczenia faktu pojawienia się na ziemi Zbawiciela, Biblia nie wspomina nigdzie o tym, by w jakiś szczególnie sposób wyróżniać i świętować dzień Jego narodzin, kładąc bardziej zdecydowany nacisk na upamiętnienie Jego śmierci i zmartwychwstania. Jako ci, którzy w Chrystusie otrzymali tak wielki dar, czujemy, że każdorazowo powinniśmy okazywać wdzięczność naszemu Ojcu za to, że przed założeniem świata przewidział „*baranka niewinnego i nieskalanego*” z myślą o naszym wybawieniu. Nie powinno być w naszym życiu dnia, gdy zapominamy o wielkiej łasce, jakiej dostąpiliśmy w Jezusie Chrystusie, a nasza wdzięczność dla Boga powinna być każdego dnia niezmiennie wielka. Dość trudno – choć np. biblijne „Święto Szałasów” może nam nasuwać pewne analogie¹ – dostrzec na kartach Bożego Słowa ustanowienie jakiegoś szczególnego święta, które miałyby podkreślać i upamiętniać sam fakt Pańskich narodzin.

Czasem mówimy, że uczuciowo w pewien sposób dołączamy się do ogólnochrześcijańskiego nurtu obchodzenia grudniowych świąt. Podobnie jak inni chrześcijanie dajemy sobie w tym czasie prezenty, staramy się być mili dla innych i może rzeczywiście więcej w tym czasie myślimy o postaci Jezusa z Nazaretu, choć wiemy, że data jakby chybiona, a żłóbek z siankiem i stajenka, to już dawno nie jest miejsce dla Tego, któremu została dana „*wszelka moc na niebie i na ziemi*”. Wszechobecna dziś machina komercji sprawia, że „Święta” w hipermarketach zaczynają się tuż po 1 listo-

pada (bo dotąd królowały w nich znicze i chryzantemy „made in China”) i nikt już nawet nie próbuje ukrywać, że to czas, kiedy handlowanie idzie najlepiej, bo ludzie wpadają w zakupowy amok: „Co tam debet, idą Święta, przecież trzeba kupić”. Czas „wielkiego przebudzenia” i spłacania kredytów przychodzi dopiero po Nowym Roku...

Z całą pewnością z wielu ludzi z naszego otoczenia w tym szczególnym czasie „uwalniają się” jakieś skrywane i zapomniane w codziennej pogoni za wiatrem „pokłady dobra”, które sprawiają, że przynajmniej od ludzkiego oka starają się oni wykrzesać z siebie uśmiech, dobre słowo i życzliwość – czyli na dziś „towary” wielce deficytowe. W wielu firmach odbywają się przedświąteczne spotkania, w czasie których zdają się błędnie codzienne niesnaski, ukryte „podgryzanie” i otwarta wrogość, by powrócić zaraz po Nowym Roku, gdy wszystko zacznie być już tak... „normalnie”. Nie można nie doceniać tych świątecznych przemian (szkoda jednak, że tak krótkotrwałych) dokonujących się w ludziach, które często znajdują swoje artystyczne odbicie w takich dziedzinach twórczości jak książka czy film – któż z nas nie słyszał o wzruszającej „Opowieści wigilijnej” Karola Dickensa. Kto wie, może obserwowanie tej zdolności do uruchamiania się w ludziach specyficznego „mechanizmu dobra” jest nawet elementem, który w jakiś sposób podbudowuje naszą wiarę w człowieka oraz w możliwość i realność przemiany ludzkich serc w czasie „naprawienia wszystkich rzeczy”? Bo przecież otaczający nas ludzie w zdecydowanej większości nie są z gruntu źli, a może nawet czasem są lepsi niż my sami... Każdy powód jest dobry, by wydobyć z siebie chęć i potrzebę zmiany na lepsze – może więc przyda się i nam taka cicha refleksja nad sobą samym.

Często jednak zastanawiam się, czy dobrą rzeczą jest bezrefleksyjne „przygłaskiwanie” zjawiska grudniowego świętowania we wszystkich jego aspektach i wymiarach. Zadaję sobie pytania, do czego tak naprawdę się przyłączam, i czy nie byłoby lepiej pozostać jednak z boku wraz ze swoim codziennym uczuciem wdzięczności za Zbawiciela i plan zbawienia, jednocześnie w pewien sposób dystansując się od czegoś, co chyba dawno już przestało mieć wymiar nabożności i zatraciło religijny charakter, stając się raczej pewnego rodzaju „świecką tradycją” ukutą przez naszą zachodnią cywilizację. No może nie do końca „świecką”, bo pewnie dla wielu z nas nie będzie zaskoczeniem, że owszem, grudniowe święta mają swą bardzo religijną podbudowę. Religijną, tyle że niestety nie za bardzo chrześcijańską i biblijną...



Dla nikogo nie jest dziś już chyba tajemnicą, że data 25 grudnia jest dość mocno związana z kultami pogańskimi, jak na przykład pochodzącym ze starożytnej Persji kultem boga Słońca i światła – Mitry, który jak wierzą, narodził się ze skały właśnie w dniu 25 grudnia. Gdzieś u podstaw obrania tej właśnie daty leżą również rzymskie „Saturnalia” obchodzone w drugiej połowie grudnia – zwyczajowo były one czasem radości, zabaw i... obdarowywania się prezentami. W czasach późnego Cesarstwa Rzymskiego zmieniono ich nazwę na „Bromalia” – czyli święto zimowego przesilenia. Datę 25 grudnia wybrali ówczesni chrześcijanie, aby „po swojemu” zastąpić obchodzone w tym dniu rzymskie święto Sol Invictus (niezwyciężonego Słońca).

Dość ciekawie genezę jednego z największych obecnie świąt chrześcijańskiego świata opisuje Jan Kwapisz w artykule pt. „Niezbędnik Świętego Mikołaja”, zamieszczonym w czasopiśmie „Mówią wieki” nr 12/2004. Oto fragment:

„Nie trzeba być antropologiem kultury, by doszukać się analogii do dzisiejszych obchodów świąt Bożego Narodzenia, a także włoskiego karnawału. Najwyraźniej Europejczyk nie potrafi się obyć bez Saturnaliów. Nie zmieniła tego nawet ostra cezura chrześcijaństwa, która raz na zawsze odcięła świat istniejący „przed naszą erą”. W ocaleniu cząstki pogańskiej tradycji pomógł szczęśliwy zbieg okoliczności, podobnie jak w przypadku wielu starożytnych dzieł literackich, które uniknęły zapomnienia mimo rewolucyjnej zmiany światopoglądu czytelników. Wobec milczenia Ewangelistów na temat daty narodzin Boga, należało znaleźć w kalendarzu symboliczne miejsce dla jednego z dwóch najradośniejszych świąt chrześcijańskich. Grudniowym uroczystościom, z których niełatwo było zrezygnować, nadano nową etykietę i głęboki sens”.

No cóż.... Na wiele sposobów można tłumaczyć (a może nawet próbować usprawiedliwiać) decyzję kościelnych hierarchów z IV wieku, którzy 25. grudnia nakazali świętować jako dzień narodzenia Jezusa. To zresztą nie jedyny przykład dość specyficznego wykorzystania istniejącego na długo przed pojawieniem się chrześcijaństwa systemu wierzeń i nadania mu nowego, „chrześcijańskiego” wymiaru. Zadajmy sobie jednak pytanie, czy taka dyfuzja światopoglądów i kultur to słuszny i dobry kierunek, czy też zwykła polityka i pójdzie po linii najmniejszego oporu, by przypadkiem nie uczynić sobie wroga w poganinie mocno przywiązany do praktykowania swych odwiecznych obyczajów?

Generalnie dość nie po drodze mi z poglądami XVI-wiecznych angielskich purytan, którzy odkrywszy pogańskie pochodzenie „Bożego Narodzenia” całkowicie zabronili jego obchodzenia, prawnie nakazując w tym czasie wykonywanie normalnych, codziennych zajęć. Może dziś są oni postrzegani jako religijni fanatycy i

burzyciele odwiecznych, usankcjonowanych już w tradycji, obyczajów, a przymiotnik „purytański” raczej nikomu nie kojarzy się dobrze. Gdy jednak podejmujemy próbę uczciwego zmierzenia się z analizą tej sytuacji, czy nie stwierdzamy, że jest coś „na rzeczy” i czy nie dochodzimy do wniosku, że to twarde, „ortodoksyjne” stanowisko purytan miało jednak swe podstawy?

Uważam, że każdy wolny od pracy czas powinniśmy chętnie poświęcać na pochylenie się nad Bożym Słowem, budowanie swojej wiary i społeczności ze współbraćmi w wierze – dlatego bez najmniejszego oporu idę również w ten dzień do zboru, by wspólnie radować się Słowem i czerpać duchową siłę. Chciałbym jednak pamiętać o żarzącej się gdzieś w mojej głowie małej czerwonej lampce, która ostrzega przed pełną i całkowicie bezkrytyczną integracją ze wszystkim, co mnie otacza i przed „płynięciem z prądem” poprawności, której być może oczekiwałby od nas świat. Choć może z pozoru, po wierzchu wydawać się to wszystko dobre, szczere, pełne ciepła, a może i nawet „jakoś” bliżniejne uzasadnione...

Bo dziś nikt już pewnie nie pamięta o czczeniu jakiegoś Mitry, Saturnaliach, święcie Sol Invictus i innych nazwijmy to „dość mało chrześcijańskich” obrzędach, ale mimo to bądźmy ostrożni, tak po prostu... Nawet jeśli ceną będzie to, że ktoś zechce uznać nas za dziwaka, który nie potrafi się „dopasować” i psuje świąteczny nastrój swymi obiekcjami. Nawet jeśli ktoś chciałby popatrzeć na dawne przedchrześcijańskie kultury i obyczaje próbując dostrzec w nich dalekie echa i ślady objawień samego Boga danych pierwszym ludziom, mimo to bądźmy ostrożni.

Jako całkiem jeszcze nie tak niedawny wyznawca najbardziej licznej w naszym kraju społeczności religijnej, takie obiekcje mam i wydaje mi się, że mam prawo je mieć. I nie mówię tu o tym wszystkim po to, by kogoś urazić czy zaniepokoić – chciałbym jednak, byśmy w duchu braterskiej szczerości i miłości wspólnie poszukiwali Prawdy i chodzili ścieżkami, którymi chciałby prowadzić nas nasz Ojciec. Czy są to obiekcje słuszne i uzasadnione, czy też jest to jedynie dowód religijnego fundamentalizmu, pozostawiam ocenie Czytelnika.

Oczywiście musimy pamiętać i o tym, że można i trzeba z naszymi bliskimi i rodzinami na trudne tematy naszej „inności” rozmawiać w taki sposób, by nie ranić ich uczuć i nie deptać przy okazji tego, co jest dla nich ważne i wartościowe, a może nawet w pewien sposób święte. Bo nie na tym polega moc Ewangelii, by deptać i niszczyć, ale by potrafić budować. Powinniśmy więc w duchu miłości i pokoju wskazywać na piękno Bożej i Chrystusowej nauki, wskazywać nie tylko słowami, ale także poprzez swój styl życia i konsekwentne tej nauki stosowanie. Jest to może dobry temat na jakieś osobne rozważanie, bo pamiętać musimy, że przez nasz brak



roztropności, taktu czy zwykłego „dobrego wychowania” można wyrządzić czasem wiele szkód, których nie sposób potem naprawić. Wtedy najpiękniejsze nawet słowa o pięknie „Ewangelii Królestwa” znaczą tak dziwnie niewiele...

Jeśli chcielibyśmy w tym grudniowym, specyficznym dla chrześcijańskiego świata czasie poszukać jakiegoś ważnego biblijnego wydarzenia, które należałoby upamiętnić, nie będzie to z całą pewnością fakt narodzenia Jezusa. Można natomiast próbować udowodnić, że właśnie na ten mniej więcej czas przypadało spotkanie anioła Gabriela z Marią nazywane często „zwiastowaniem”. To wydarzenie nie było dla Marii czymś zwykłym i naturalnym – już sama treść pozdrowienia anioła była dla niej powodem do poważnego zastanowienia, a nawet trwogi (Łuk. 1:28,29). Jeszcze większego zdumienia Marii można się spodziewać, gdy anioł Gabriel mówi o tak ważnych z punktu widzenia realizacji Bożego planu sprawach jak: perspektywie narodzenia „Syna Najwyższego” i Jego królowaniu na tronie Dawida. Właśnie około tego czasu zimowego przesilenia, gdy światło zaczyna zwyciężać nad ciemnością, mogły paść z ust Marii tak ważne i znane chyba wszystkim chrześcijanom słowa: „*Oto ja służebnica Pańska, niech mi się stanie według słowa twego*” – Łuk. 1:38 (B-W).

Można przypuszczać, że w wyborze terminu tego tak niezmiennie ważnego dla całego wszechświata wydarzenia, Pana Boga jak zawsze, cechowało zaplanowane i precyzyjne działanie... Bo czyż zapowiedź przyjścia na świat Zbawiciela nie była zwycięstwem promienia Bożego światła nad ciemnością mocy grzechu i zła? Zapewne nie przypadkiem tak wiele miejsc Bożego Słowa nazywa naszego Pana „światłością” – również sam Jezus mówi o sobie, że jest „światłością świata” (Jan 8:12).

Czy zastanawialiśmy się kiedyś, co mogła dla Marii oznaczać owa deklaracja: „*Niech mi się stanie według słowa twego*”? Czyż nie był to wspaniały akt wiary i posłuszeństwa swemu Bogu, a przy tym dowód wielkiej odwagi tej prostej galilejskiej dziewczyny? Maria stawia aniołowi w tej bardzo niecodziennej i zaskakującej sytuacji jedno, jedyne pytanie: „*Jak się to stanie, skoro nie znam męża?*” – Łuk. 1:34 (BW). Mimo wielu myśli, jakie zapewne przebiegły jej wtedy przez umysł, jej serce było pełne pokoju, bo wiedziała, że ta sprawa daleko wykracza poza ludzkie kompetencje. Dziś może wielu chciałoby powiedzieć: „To się przecież zdarza, tak już jest, że czasem dziecko rodzi się przed ślubem – nic zatem niezwykłego i żadne ryzyko, bo zawsze przecież ‘jakoś tam’ się poukłada, gdzie tu więc miejsce na odwagę?”. Dla Marii jednak słowa: „*Niech mi się stanie według słowa twego*” wcale nie oznaczały „*jakoś tam się poukłada*” – mogły oznaczać ni mniej ni więcej jak sprawiedliwy w świetle Prawa Zakonu wyrok śmierci za

wszetczeństwo (5 Mojż. 22:20-24) – i to raczej bez możliwości nadzwyczajnego złagodzenia kary, bo patrząc z ludzkiej perspektywy ta sprawa wyglądała dość ewidentnie. Czy mając taką świadomość potrafilibyśmy podobnie się zachować na jej miejscu?

Przy okazji nie świętowanej szczególnie hucznie rocznicy „zwiastowania” warto pamiętać o tym, jak wyjątkową postacią była Maria, warto chcieć i potrafić uczyć się od niej pokory wobec Bożych postanowień i gotowości wypełnienia Jego woli wbrew własnym obawom i słabościom. Warto choć czasem pochylić się także nad postacią ziemskiej matki Zbawiciela – nie ma żadnego powodu, by nie zauważać faktu jej bliskich relacji z Panem Bogiem, jej szlachetności i prawości, które możemy nie tylko podziwiać, ale także naśladować.

Czas spotkania Marii z aniołem Gabrielem był równocześnie niezwykle ważnym momentem dla jednej z najzacniejszych istot ówczesnego duchowego świata – Logosa, Jednorodzonego Syna Boga, który nazwany jest przez apostoła „pierworodnym wszystkich rzeczy stworzonych” (Kol. 1:15). To stwierdzenie przesuwając do życia istoty Logosa na przeszłość dla nas ludzi niewyobrażalnie wprost odległą.

Moment, w którym anioł Gabriel zostaje posłany do Nazaretu do Marii, był jednocześnie czasem, w którym Logos miał opuścić chwałę i splendor nieba, po to by Jego życie mogło zostać mocą Bożą przeniesione do łona Marii, matki Jezusa. Jezus odnosząc się do swego wcześniejszego, duchowego istnienia mówi do zbulwersowanych tym stwierdzeniem Żydów: „*Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: Pierwej niż Abraham był, jam jest*” – Jan 8:58 (BG). Może dość rzadko zastanawiamy się nad tym, co dla tak potężnej duchowej istoty, której funkcjonowanie, moc i zdolności intelektualne tak bardzo różnią się od ludzkich, oznaczało to wydarzenie i jak wielkim było to wyrzeczeniem i ograniczeniem. Było to, używając języka Biblii, „*wyniszczenie samego siebie*”. Tak tę niecodzienną we wszechświecie sytuację opisuje apostoł Paweł, gdy wspomina plan zbawienia, który miał się dokonać w Panu Jezusie Chrystusie:

„Który, będąc w kształcie Bożym, nie poczytał sobie tego za drapiestwo równym być Bogu, ale wyniszczył samego siebie, przyjmawszy kształt niewolnika, stawszy się podobny ludziom; I postawą znaleziony jako człowiek, sam się poniżył, będąc posłusznym aż do śmierci, a to śmierci krzyżowej” – Filip. 2:6-8 (BG).

Dobrze pamiętać o tym, gdy w grudniowe dni pochyłamy się nad Słowem, szukając w nim nie tylko wiedzy, ale także sił do zmagania z codziennością, inspiracji do działania i Bożego pokoju.



Zbliża się czas wejścia w nowy 2010 rok – będąc dzieckiem, uważałem tak odległą datę za zupełną abstrakcję. Jednak dziś możemy już powiedzieć, że doczekaliśmy nie tylko przełomu tysiącleci, ale żyjemy nadal i z wdzięcznością stwierdzamy, że „*aż dotąd pomagał nam Pan*” (1 Sam. 7:12). W naszych sercach wiele jest wdzięczności i niezliczone powody do tego, by przed Boży tron zanosić uwielbienie i chwałę. Mimo wielu trudności, każdodziennie otrzymujemy zapewnienia o Jego opiece i dowody Ojcowskiej miłości do nas. Może nie codziennie w natłoku spraw potrafimy to zauważać, nie codziennie też potrafimy wykrzesać z siebie proste słowa: „Dziękuję, Panie”. Być może czasem wydaje nam się, że rzeczy, które nas spotykają, nie są dla nas dobre, chcielibyśmy może wszystko zrobić inaczej, szybciej i w naszym przekonaniu również lepiej, skuteczniej... Pamiętajmy jednak i bądźmy przekonani, że gdy prosimy naszego Ojca o rybę, On nigdy nie poda nam węża (Mat. 7:10), to tylko nasze mało bystre oczy czasem postrzegają rzeczy inaczej, zbyt powierzchownie i jakże mało przewidująco – może czasem wydaje się nam, że Bóg myli się odpowiadając na nasze modlitwy w taki, a nie inny sposób. Nasz Bóg nie myli się nigdy i dając nam coś ma w tym swój cel, którego może my zwyczajnie nie potrafimy dostrzec. Możemy być pewni, że Pan Bóg jako nasz dobry Ojciec chce naszego dobra, choć bywa tak, że długo nie potrafimy poradzić sobie z tym, by pojąć cele Bożego działania w naszym życiu. I tak już pewnie będzie do samego końca, czyli aż do czasu, gdy poznamy wszystko tak, jak sami jesteśmy przez Niego poznani (1 Kor. 13:12).

Wiele mówiło się w minionym roku o światowym kryzysie, międzynarodowych konfliktach, terroryzmie i ginących w zamachach ludziach, widmie pandemii grypy, niesprawiedliwym podziale dóbr i, paradoksalnie, ciągle rozszerzającej się „strefie głodu” w krajach rozwijających się. Musimy powiedzieć, że ten zamierzony przez Boga czas doświadczania przez ludzkość skutków grzechu i ponoszenia konsekwencji ludzkich wyborów dokonywanych z pominięciem Boga bywa i dla nas trudny. Również i nas dotyczą cierpienia i bywa tak, że jest nam strasznie trudno odnaleźć się w świecie rządzoneм nie tylko twardymi prawami ekonomii, ale i ludzką zawiścią, chciwością i tak powszechnym brakiem szacunku dla drugiego człowieka. Bywa, że na wzór Lota w Sodomie, cierpimy i „trapimy swoją duszę” osaczeni przez panoszące się

zło, a może czasem wydaje nam się w przypiływie zwątpienia, że pasmo sukcesów „księcia tego świata” nigdy nie zostanie ukrócone... Pamiętajmy jednak, że słowa naszej modlitwy: „Przyjdź Królestwo Twoje” zostaną we właściwym czasie wysłuchane a ci, w których idee tego Królestwa przetrwają aż do końca, zostaną nagrodzeni wiecznym życiem i radością, której nie będzie końca. Dlatego, mimo że czasem jest nam trudno i czas oczekiwania na Chrystusowe Królestwo wydaje się nam ciągle odległy, czekajmy cierpliwie, bo każdy rok przybliża nas do niego dając nową nadzieję, że przecież w końcu każda łza zostanie otarta, a pierwsze rzeczy przeminą, bo tak zaplanował Wszechmocny Bóg, a Jego obietnice są „*pewne i prawdziwe*” (Obj. 21:4,5).

Może czasem chcielibyśmy spytać: „*Dokądże, Panie?*”, może pragnęlibyśmy też jakoś przyspieszyć Boże działania: spełnienie wszystkich prorocत्व, wypłnienie zła z udręczonej ziemi... Musimy jednak pamiętać o słowach Piotra apostoła, że

„Pan nie zwleka z dotrzymaniem obietnicy, chociaż niektórzy uważają, że zwleka, lecz okazuje cierpliwość względem was, bo nie chce, aby ktokolwiek zginął, lecz chce, aby wszyscy przyszedli do upamiętania” – 2 Piotra 3:9 (BW).

Może więc to, że sprawy ciągle zdają się toczyć jakby nie po „Bożej myśli”, powinniśmy uznać za wielką szansę dla nas, by zmienić w naszym życiu to, co zmienić jeszcze można? Bo istotą rzeczy nie jest przecież wierność i trwanie przy Panu do któregoś umówionego roku, ale aż do śmierci i to ona właśnie jest „grubą kreską” podsumowującą nasze dokonania w tym życiu. Starajmy się więc o to, by nasze powołanie i wybranie każdego dnia czynić pewnym i każdego dnia zbliżać się do Pana Boga i Jego Syna. Ufajmy też, że mijający rok przybliżył nas do błogosławionego i wyczekiwanego przez tak wielu ludzi czasu, gdy pustynia zakwitnie jak róża, gdy chromy będzie skakał, a groźny lew będzie paść się razem z jagnięciem. Ufajmy też, że przybliżyła się nasze odkupienie, bo „*usta Pana Zastępów to powiedziały*”. Amen.

Nawrocki Krzysztof
R-
„Straż”

¹ Zob. na przykład „Wędrowka” nr 5/2002 art. „Święto radowania się Słowem” – przyp. aut.